

Między młotem neokolonializmu a kowadłem multi-kulti

10 stycznia 2015

Po zamachu na Charlie Hebdo nadzwyczaj wiele komentarzy koncentruje się na islamie jako religii, choć oznacza to całkowite rozmycie problemu, który ma charakter polityczny i ekonomiczny a nie religijny. Z pewnością konsekwencje tych wydarzeń będą miały duże przełożenie polityczne. By jednak zrozumieć na czym polega istota tego problemu, trzeba rozumieć na czym dokładnie polega kwestia islamska na Zachodzie. Często przedstawia się ją w ten sposób, że oto Europa wymyśliła sobie relatywizm kulturowy i multi-kulti, które otwarły muzułmanom drzwi do Europy. Przez lekkomyślność polityków islam stał się problemem społecznym Europy, którą sukcesywnie podbija demograficznie.

W istocie problem ma zupełnie inny charakter: duże grupy muzułmańskie w Europie nie wynikały generalnie z jakiejś łaskawości, lecz są dziedzictwem postimperialnym. Europejscy kolonizatorzy eksploatowali kraje muzułmańskie, czego typowym objawem są fale emigrantów, którzy lądują głównie w metropolii kolonizatora. Fundamentalizm wśród tych imigrantów nie jest swobodnym wykwitem, lecz projektem politycznym, obliczonym na to, by pozbyć się zależności neokolonialnych i odzyskać suwerenność gospodarczą.

Dlatego kwestia islamska to problem obustronny o charakterze ekonomicznym. Nie chodzi w niej o to, by uderzyć obostrzeniami w europejskich muzułmanów, lecz o to, by wyplatać się z neokolonialnego klinczu bez wojny.

Jest smutną ironią losu, kiedy nawet w Polsce, gdzie problem z islamem nie istnieje i nie zaistnieje, jeśli sami go nie stworzymy (eskalacja zaangażowania wojennego), tak częste są głosy w duchu postimperialnym, domagające się radykalnego

rozwiązania kwestii islamskiej, zapominając, że to Zachód więcej zagarnął z tamtych krajów aniżeli ich mieszkańcy z bogatych krajów zachodnich.

Naturalnie, zrozumiałe i uzasadnione są obawy o własną kulturę, bo wielokulturowość stwarza problemy. Ale to nie nasz problem, lecz właśnie krajów bogatych i postimperialnych dla których problem z nieasymilującymi się muzułmanami jest owocem ich polityki i historii. Budowali własne bogactwo kosztem innych krajów – to dziedzictwo lubi powracać. Paradoksem jest, kiedy Polacy, których los jest o wiele bardziej podobny do losu innych krajów kolonizowanych i wyzyskiwanych, zaczynają się utożsamiać z krajami kolonizującymi i wyzyskującymi. Takie kraje jak Polska mają prawo do zachowania integralności swojej kultury, ale z drugiej strony ludzie z krajów kolonizowanych mają prawo oczekiwać udziału w dobrach krajów postimperialnych.

Wielokulturowość w jej postaci obecnej na Zachodzie to toksyna społeczna. Ale rozwiązanie tego problemu wymaga podejścia kompleksowego. Proste rozwiązania antyislamskie doprowadzą jedynie do eskalacji przemocy.

Nie bronię więc multi-kulti, ale nie zgadzam się na sprowadzanie problemu do emocjonalnego demonizowania tych sił i zjawisk, które wykorzystują słabości zachodnich systemów. Zachód jest zazwyczaj rozgrzeszany z tych sytuacji w których pokonywał inne kultury, które następnie podbijał we własnym interesie. W historii jest to zjawisko normalne, że kultury słabsze ulegają silniejszemu (ale i co pewien czas kultury przesycone ulegają głodniejszemu). Demonizowanie takie rozmywa przede wszystkim diagnozę problemu. Problemem jest nie taki czy inny fundamentalizm, lecz sama koncepcja społeczeństwa ulepionego z różnych kultur. Należy ją traktować po prostu jako (wciąż?) nieudany eksperyment społeczny, który w swych założeniach nie jest niedorzeczny i może dawać pozytywne rezultaty.

Idea multi-kulti przyjęła mianowicie założenie, że stworzenie społeczeństwa w którym współżyją ze sobą najróżniejsze kultury będzie prowadziło do ich twórczych interakcji a nawet syntezy hipotetycznego społeczeństwa wielokulturowego, która będzie lepsza aniżeli pojedyncza monokultura. Multikulti towarzyszyło jeszcze jedno ukryte założenie: przekonanie o tym, że kultura zachodnia jest najlepsza, dlatego że tylko najlepsza kultura może wygenerować tak postępową ideę jako multikulturalizm, żadna inna kultura nie daje jednostce tak dużych praw i wolności. Dlatego też multikulturalizm zakładał, że Zachód stanie się nie tylko tygłem stapiającym i cywilizującym różne kultury, ale i swoistym magnesem, który będzie je zasysał ku sobie.

USA JAKO SYNTEZA WIELOETNICZNA

Teoretycznie taka koncepcja wydaje się być rozsądna, co więcej miała ona za sobą niemało argumentów empirycznych: prześladowania religijne na ogół były niekorzystne dla krajów je stosujących i nierzadko dobre interesy robili ci, którzy tolerancyjnie otwierali swoje granice dla uchodźców religijnych, którzy stawali się na ogół oddanymi miłośnikami władzy. Najbardziej zaawansowanym przykładem syntezy wielokulturowej stały się Stany Zjednoczone, czyli kraj, który nie opierał się na żadnej monokulturze, lecz stworzony został z różnych prześladowanych na starym kontynencie mniejszości kulturowych, które wygenerowały wspólny tygiel amerykańskości. Ameryka pokazała fundamentalne dla idei multi-kulti zjawisko polegające na łagodzeniu fundamentalizmów religijnych, pod wpływem rozwoju ekonomicznego całego społeczeństwa.

Niestety w europejskiej wersji wielokulturowość szybko zaczęła generować problemy z rosnącą liczbą napięć i konfliktów społecznych na czele. Okazało się, że tworzenie państwa od podstaw multireligijnego, daje zupełnie inny efekt aniżeli zaaplikowanie multi dla państw tradycyjnych – na bazie wątplenia wobec swych tradycyjnych kultur (a po wojnie cała Europa Zachodnia była jednym wielkim wątpleniem we wszystko

co wczorajsze, co zdawało się dzielić odpowiedzialność za horror wojenny i traumę ratunku dokonanego z zewnątrz, rękoma radziecko-amerykańskimi).

Ameryka z powodzeniem stopiła w swoim okresie fundacyjnym różne grupy wyznaniowe i etniczne, ale odbyło się to w kontekście dążenia do ochrony tego, co Europa chciała zgnieść lub wypychała na margines. Europa z kolei wygenerowała multi-kulti z kontekście kryzysu zaufania do własnych tradycyjnych kultur.

Poza tym USA to przykład tylko częściowej syntezy wielokulturowej. Nim powstało zaorało rdzenną kulturę amerykańską, która została wystawiona poza nawias. Dlatego, choć Stany mogły uchodzić za pewną formę skutecznego projektu wielokulturowego, jest to przykład bardzo ograniczony.

STAROPOLSKIE MULTI-KULTI

W moim przekonaniu najlepszym laboratorium wielokulturowości była Rzeczpospolita. Najlepszym dlatego, że doskonale pokazał zarówno atuty, jak i zagrożenia, jakie wiążą się z polityką wielokulturową. Wielokulturowość była zarówno źródłem siły Rzeczypospolitej, jak i mechanizmem służącym do całkowitego demontażu państwa. Wielokulturowość powstała w sposób naturalny w oparciu o tradycje tolerancji religijnej. Kiedy w Europie dominowała nietolerancja religijna, Polska wzmacniała się przez przyjmowanie wdzięcznych uchodźców. Tego rodzaju imigracja budowała siłę kraju, tym bardziej, że nie niszcząc różnorodności wierzenia, kultura polska była postrzegana jako coś pozytywnego, dzięki czemu wciągała ona, ale i asymilowała obcokrajowców.

Sama kultura też wzbogacała się dzięki stykowi z wieloma innymi od których chętnie przejmowała wiele wątków i elementów. Obecnie niektórzy chwalcy sarmackiej wielokulturowości deformują jej kształt, akcentując jedynie samą wielość kultur dawnej Polski. Tymczasem fundamentem tej

wielokulturowości było przywiązanie do kultury rodzimej. Uważano, że kultura polska jest wyjątkowa, ponieważ potrafi w pokoju żyć z innymi kulturami i potrafi je chłonać. Na takim gruncie może wzrastać tygiel kulturowy, w przeciwieństwie do współczesnego multi-kulti, które aplikowano w warunkach zwątpienia w kultury rodzime.

Bardzo dokładnie można też odtworzyć proces, który doprowadził do tego, że to co było dawniej źródłem siły, stało się przyczyną rozkładu kraju. Kluczowym momentem była utrata rodzimych dynastii panujących na rzecz królów obcokrajowców, którzy wnieśli do kraju obcą politykę religijną. Piastowie i Jagiellonowie budowali siłę kraju w oparciu o wielokulturowość i tolerancję religijną. Waza od samego początku był prowokacyjnie stronnicy, co podsycało w kraju konflikty religijne i sprzyjało fanatyzmowi.

Stąd już był tylko krok do upolitycznienia podziałów religijnych, co miało miejsce, kiedy sąsiedzi dostrzegli, że dawna różnorodność religijna stała się „piętą Achillesową” Rzeczypospolitej, która wszak nie brała udziału w europejskich wojnach religijnych w XVI i XVII w. po których kraje zaangażowane przyjęły zasadę, że poddani przyjmują taką religię, jak król (*cuius regio eius religio*). W Polsce nie obowiązywała ta zasada, zamiast niej obowiązywała formalna tolerancja. I ta właśnie tolerancja miała się teraz stać źródłem problemów. Wystarczyło bowiem, by Wazowie przestali gwarantować jej egzekwowanie, by doszło do sytuacji takiej, że sąsiadujący monarchowie weszli w rolę protektorów poszczególnych mniejszościowych wyznań w Polsce.

Na sto lat przed pierwszym rozbiorem rozpoczęło polityczne rozgrywanie mniejszości wyznaniowych w Polsce. Pod pretekstem ochrony takiego lub innego wyznania dokonywano w Polsce coraz to nowych ingerencji, które w finale kompletnie rozstroiły politykę wewnętrzną kraju. Nie ulega wątpliwości, że wielokulturowość stała się od XVII w. źródłem słabości Rzeczypospolitej. Szereg ważnych miast polskich, gdzie silne

były wpływy ewangelickie, zaczęły dryfować ku Prusom. Wschodnie rubieże, gdzie żyli prawosławni – ku Rosji. Każdy pewnie wie, że wśród naczelnych „pretekstów” rozbiorów była „sprawa dysydencka”, lecz nie był to pretekst ad hoc, jak często się sugeruje. Był to finał całego stuletniego procesu rozwijania ingerencji międzynarodowych w oparciu o ochronę mniejszości wyznaniowych.

Ta historia to zatem modelowy przykład wielokulturowości, która stała się mechanizmem rozkładowym. Nie sama w sobie – lecz przez cyniczne wyzyskanie słabości systemu i upolitycznienie mniejszości wyznaniowych.

I teraz jeśli podejdziemy do tego w sposób płytki, możemy powiedzieć, że Polska została rozmontowana przez kościół katolicki, bo gdyby Kościół był tolerancyjny religijnie to nie byłoby pretekstów do ingerencji. Jest to jednak diagnoza, która przede wszystkim uwalnia od odpowiedzialności głównych odpowiedzialnych. To nie Kościół decydował jaka była polityka religijna w krajach katolickich. Za Piastów i Jagiellonów Polska była krajem tolerancyjnym religijnie, choć królowie byli katolikami. Czasy imperialne Kościół miał już dawno za sobą i to władze dyktowały politykę religijną krajów. Były to czasy w których nierzadko katoliccy królowie stawali się większymi problemami papieża aniżeli królowie innowierczy.

„Kwestia dysydencka” wyrosła nie na tym, że władza tak jak w innych krajach prześladowała mniejszości. Czegoś takiego prawie u nas nie było. Wyrosła ona na tym natomiast, że władza ta w pewnym momencie przestała egzekwować naruszanie prawa o tolerancji, które coraz namiętniej naruszały bojówki fundamentalistów. Wyglądało to w ten sposób, że grupka fanatyków organizowała tzw. tumult, czyli łomot wymierzony w jakąś mniejszość – po czym uchodziło to całkiem bezkarnie. Albo przeciwnie: kiedy to mniejszość religijna zorganizowała tumult – naraz król szafował wyrokami śmierci.

Proces rozkładu Rzeczypospolitej jest właśnie przykładem

procesu wykorzystania słabości multi-kulti przez zewnętrzne ośrodki polityczne.

Mamy więc z czego wyciągać wnioski na przyszłość.

RELIGIE JAK KAMELEON DOSTOSOWUJĄ SIĘ DO OTOCZENIA

Rzecz w tym, by historię wykorzystywać w ten sposób, by umieć odczytywać pewne mechanizmy polityczne służące do osiągnięcia celów przez różne podmioty polityczne. Tylko ahistoryczna naiwność może skłaniać do sprowadzania obecnych problemów z multi-kulti do kwestii islamskiej czy tym bardziej do koncyptowania źródła problemów w naturze samego islamu.

Nie ma czegoś takiego jak natura islamu czy chrześcijaństwa. Wiara w coś takiego jest największym mitem religijnym.

Twierdzenie, że jakaś ideologia jest tutaj złem samym w sobie, jest w moim przekonaniu naiwnością. Gubi się wówczas perspektywę z której wynika, że żadna religia czy ideologia nie jest immanentnie fanatyczna. Każda mianowicie w pewnych okolicznościach generuje formy umiarkowane i łagodne (tolerancyjne) i jednocześnie każda w pewnych okolicznościach może wygenerować nietolerancyjne fanatyzmy (na ogół wówczas kiedy trzeba walczyć o interesy ekonomiczne). Tracimy tę perspektywę dlatego, że żyjemy w czasach kiedy to akurat islam jest najczęściej w ten sposób wykorzystywany. Jest tak dlatego, że kraje islamskie są nadzwyczajnie upośledzone ekonomicznie.

Niektórzy autorzy nie biorąc pod uwagę kluczowej roli konfliktów ekonomicznych, próbują doszukiwać się w samych doktrynach/ideologiach określonych cech, które mają je predysponować ku takim wojująco-fundamentalistycznym tendencjom (np. religie monoteistyczne). Dawniej wierzyłem w takie teorie, dziś jednak widzę, że zbyt dużo faktów do nich nie pasuje, by były one prawdziwe. Z kolei teorie rozpatrujące religie/ideologie przez pryzmat konfliktów interesów ekonomicznych i politycznych – bardzo ładnie harmonizują się z

faktami. Nawet jeśli nie w 100% to jednak współgrają z faktami o wiele lepiej aniżeli teorie upatrujące źródeł fanatyzmów w samym kształcie doktryn.

Zjawisko to dotyczy nie tylko chrześcijaństwa czy islamu, ale w zasadzie każdej dużej i długowiecznej religii. Wszystkie one w zależności od uwarunkowań geograficzno-historycznych przybierały formy umiarkowane i tolerancyjne lub radykalne i wojujące. Teoretycznie nietolerancyjne islam czy chrześcijaństwo mają za sobą wielowiekowe dzieje tolerancji. Teoretycznie tolerancyjny buddyzm czy hinduizm mają bogate dzieje nietolerancji i fundamentalizmu.

Islam, który rozwijał się w krajach, które w danym okresie stały wyżej niż kraje zachodniej Europy (np. okres Abbasydów), generował takie formy religijne, które stały wyżej niż analogiczne chrześcijańskie (w takich okresach świat muzułmański był bardziej tolerancyjny i płodny naukowo). Dziś niektórzy konstruuja sobie argumenty wyższości krajów zachodnich, pokazując jak mały procent Noblistów i odkrywców pochodzi z krajów arabskich, ale jest to jedynie aktualny wychył cywilizacyjny, będący pokłosiem sytuacji ekonomicznej.[1] W przeszłości były okresy, kiedy to Europa była jałowa a świat arabski wylęgarnią odkryć. Nie ma powodów, by wierzyć, że trend nie ulegnie zmianie.

Potrzeba było wypraw krzyżowych, by Europa urosła, wzbogaciła się i ucywilizowała. Oczywiście za upadek świata islamskiego nie można winić w całości Europy. To bardziej kwestia geopolityczna (większe otwarcie na zakusy i wędrówki ludów azjatyckich). Tym niemniej dopiero upadek Imperium Osmańskiego całkowicie odsłonił świat muzułmański od strony Zachodu i Europy. Doprowadziło to do kolonizacji wielu krajów muzułmańskich najpierw przez kraje europejskie, a później przez USA.

Z punktu widzenia krajów muzułmańskich rozpoczęło się coś na kształt drugiej odsłony wojen krzyżowych. Jest to wzmożony

okres eksploatacji ekonomicznej przez Zachód. Ich wojna ma na celu uwolnienie świata muzułmańskiego od Zachodu.

O tym jakie kształty przybierają religie decydują o wiele bardziej konkretne uwarunkowania geograficzno-historyczne aniżeli treść świętych ksiąg. Wielkie uniwersalne religie mają to do siebie, że posiadają na tyle duże kanony, że daje się z nich wykrzesać to, co akurat jest potrzebne. Cóż z tego, że w kanonie chrześcijańskim próżno szukać zachęt do tolerancji religijnej, sporo natomiast zachęt do nietolerancji, skoro w oparciu o te pisma tworzone w przeszłości wyznania, które uważały tolerancję religijną za kluczowy element nauk chrześcijańskich. Chrześcijaństwo przybierało takie formy na jakie był odpowiedni klimat społeczno-polityczny, a nie takie, które miałyby wynikać z pism.

Niektórzy głoszą tezy o tym, że islam jest w stosunku do chrześcijaństwa po prostu zapóźniony o kilka wieków, ponieważ o tyle później powstał. Nic takiego nie wynika z dziejów obu religii. Stopień ich ucywilizowania był prawie zawsze kalką sytuacji społeczno-politycznej krajów w których funkcjonowały. Raz jedna religia stała wyżej, innym razem – druga. Kraje islamskie były bardziej tolerancyjne zarówno w okresie wczesnośredniowiecznym, jak i jeszcze w XVI wieku.

Dlatego właśnie to jakie obecnie formy generuje islam wynika nie z jakiejś jego domniemanej istoty, lecz ze stanu w jakim znajdują się kraje islamskie.

Aktualne formy islamu są formami walki krajów muzułmańskich z krajami zachodnimi. Islam jest tutaj instrumentem a nie źródłem.

Nie jest to żadna forma obrony islamu a jedynie opis źródła problemu z którym obecnie Zachód się mierzy. Próbując zrozumieć ten problem poprzez odsyłanie do pism świętych prowadzić musi do całkowitego rozmycia a tym samym możliwości zrozumienia jego istoty. Co więcej wskazując islam jako taki

jako źródło problemu, jedynie go pogłębiamy, gdyż ustawiamy się do walki z o wiele szerszym frontem wrogów aniżeli jest w rzeczywistości.

Poza tym nasza własna historia daje nam bardzo dobry grunt na którym można właściwie zdiagnozować aktualną „kwestię islamską” w Europie. Upadliśmy przez podminowanie polityczne polityki wielokulturowej. Analogiczny proces rozwija się obecnie w Europie Zachodniej (i nie dotyczy to naszego kraju).

Całkowicie odwrotnie niż w rzeczywistości uważa się, że fundamentalizm jest jakąś formą naturalną i domyślną islamu, podczas gdy jego formy umiarkowane – rzekomo taktyczne i przejściowe. W rzeczywistości każda religia uwolniona od presji zewnętrznej naturalnie ciąży ku formom umiarkowanym. Tak samo wielokrotnie było z islamem. Gdy funkcjonował w krajach triumfujących politycznie i gospodarczo, stawał się coraz bardziej umiarkowany. Widać to wyraźnie nawet obecnie. Kraje muzułmańskie poddane największej presji zachodniej – rozwijają fundamentalizmy. Kraje muzułmańskie wolne od takiej presji – mają islam umiarkowany. Indonezja to obecnie największy islamski kraj świata – do niedawna była zdominowana przez bardzo umiarkowaną wersję islamu. W ostatnich dekadach rozwija się tam fundamentalizm, który jest bezpośrednią reakcją wobec amerykańskiej kolonizacji Indonezji. Inny przykład z Dalekiego Wschodu – Malezja, gdzie religią państwową jest islam – tolerancyjny wobec innych wyznań. Obecnie Malezja znalazła się pod presją USA. Jestem przekonany, że będziemy tam obserwować rozwój fundamentalizmu islamskiego proporcjonalny do skali ingerencji USA w politykę krajową.

FUNDAMENTALIZM JAKO PROJEKT POLITYCZNY

Fundamentalizmy islamskie nie są naturalnymi wykwitami religii islamskiej, lecz zazwyczaj starannie zaprojektowanymi inicjatywami politycznymi. Nader znamienne i wymowne jest to, że autorami tych projektów są osoby świetnie wykształcone i

dobrze znające kulturę Zachodu.

Przyjrzyjmy się przykładowo Aliemu Shariati (1933-1977), który uznawany jest za „ideologa Irańskiej Rewolucji” – nie był on wychowankiem jakichś nietolerancyjnych i ograniczonych imamów, lecz uczniem Georgesa Gurvitcha (1894-1965), czyli jednego z najbardziej wyrafinowanych intelektualnie socjologów XX w., który na Sorbonie współtworzył socjologię prawa i wiedzy. Gurvitch był gorącym orędownikiem dekolonizacji, czyli zakończenia ekonomicznej formy imperializmu. Shariati nie był teologiem, lecz wszechstronnie wykształconym socjologiem religii, który na Zachodzie związany był z najbardziej empirycznymi nurtami socjologii. W oparciu o to opracował koncepcję fundamentalizmu islamskiego, który miał być projektem wykorzystania religii islamskiej dla uwolnienia krajów islamskich od zależności kolonialnych wobec krajów zachodnich.

Chodziło mu o wyzwolenie ludu islamskiego, gdyż naturalną cechą ustrojów kolonialnych jest pewne uprzywilejowanie lokalnej elity, które jest formą korupcji politycznej w zamian za możliwość eksploatacji kraju. W krajach neokolonialnych elita często jest tworzona przez kolonizatorów.

Fundamentalistyczny projekt Shariatiego w żadnym razie nie wynikał z jakiejś istoty czy tradycji islamskiej, lecz miał być drogą uwolnienia ludu islamskiego od nowoczesnych form wyzysku. Shariati uznał, że tradycyjny klerykalny islam jest tutaj jałowy i dlatego powinien zostać przekształcony w islam rewolucyjny i martyrologiczny.

Fundamentalizm islamski jest warunkowany politycznie i ekonomicznie i nic się tutaj nie zmieni jeśli trwać będzie kolonialny klincz między Zachodem a światem islamu. Dopóki Zachód rości pretensje do kontroli i okazjonalnego „wyzwalania” krajów muzułmańskich, jesteśmy skazani na fundamentalistyczny islam. Oni są skazani.

KONSEKWENCJE ZAMACHU NA „CHARLIE HEBDO”

Islam w Europie jako projekt polityczny potrzebuje fundamentalizmu, ale nie potrzebuje terroryzmu czy rewolucji. Terroryzm islamski uderza bezpośrednio w politykę multi-kulti, gdyż sprawia, że rosną nastroje antyislamskie. Im więcej aktów terroru w Europie tym konsekwentniejsze będzie odejście od polityki multi-kulti.

Trudno przewidzieć jakie konsekwencje przyniesie zamach w siedzibie redakcji Charlie Hebdo we Francji, który miał miejsce w dniu premiery antyislamskiej książki Michela Houellebecqa Uległość, lecz dla europejskiej polityki multi-kulti będzie to pewnie ostry zwrot w tył. Zachodnia Europa zapewne skonsoliduje się obecnie wokół kwestii islamskiej, w konsekwencji czego problem ukraiński spadnie na jeszcze dalszy plan. Niepokoje te znalazły przedwczoraj wyraz zarówno w TVN, jak i w TV Republika, które postawiły znaki zapytania przy kwestii prawdziwego podłoża zamachu. Ta ostatnia przytoczyła nawet słowa Andrieja Iłłarionowa, byłego doradcy Władimira Putina, obecnego wroga, który pod koniec listopada zapowiadał, że z początkiem 2015 ma się rozpocząć w Europie „islamska wiosna”, której celem ma być „polityczny paraliż” Europy wobec polityki rosyjskiej. Retoryka ta wpisuje się w narrację antyrosyjską naszych mediów, które w odniesieniu do wcześniejszych tragedii z Rosją w tle, nie stosowały praktycznie nigdy matrycy Qui bono dla poszukiwania odpowiedzialności, poprzestając na kryterium „Na kogo pada cień” – aż tu nagle w zamachu na Charlie Hebdo snują wątek islamsko-rosyjski.

Szukanie współodpowiedzialności Rosji, jak i winy islamu jako takiego to zacieranie istoty problemu muzułmańskiego, którym jest wojna dwóch światów o podłożu polityczno-ekonomicznym.

MULTIKULTI TO PROBLEM POSTIMPERIALNY

Samo odejście od polityki multi-kulti nie rozwiązuje jeszcze

problemu, albo rozwiązuje go jednostronnie. Wciąga natomiast Europę na front antyislamski. O ile bowiem problem Zachodu z islamem nazywa się multi-kulti, o tyle problem islamu z Zachodem nazywa się neokolonializm.

Trzeba więc pamiętać o tym, że kwestia islamska to problem obustronny. Polska nie jest obecnie żadną ze stron, gdyż sama boryka się z problemami o charakterze neokolonialnym. Czy kraje zachodnie gotowe są rozwiązywać problemy multi-kulti podejmując jednocześnie kwestię rozrachunku z dziedzictwem neokolonialnym? Tylko ta droga daje szansę na rozwiązanie pokojowe. Presja na rezygnację z multikulturalizmu pod wpływem społecznego wzburzenia wywołanego zamachami nie daje na to nadziei. Również historia jest tutaj niezbyt pocieszająca. Zależności kolonialne zrzucano poprzez wojny. Kiedy więc oburzamy się na narzucanie Europie wartości islamskich, oburzajmy się jednocześnie wobec eksportowania do krajów islamskich zachodnich porządków. Alternatywą jest bowiem eskalacja wojny dwóch światów.

Nie łudźmy się, że likwidacja multi-kulti sprawi, że problem islamski zniknie. Będzie dokładnie przeciwnie: on wówczas eksploduje. Odpadnie bowiem główny środek łagodzący napięcie między Zachodem a islamem. O polityce multi-kulti powinniśmy bowiem myśleć analogicznie, jak o otwarciu unijnego rynku pracy i benefitów dla Polaków. Jest to forma łagodzenia neokolonializmu gospodarczego w Polsce. Efektem tej polityki jest wyniszczenie całych branż produkcyjnych w Polsce, czego pokłosiem jest kilkumilionowe bezrobocie, głównie wśród młodych. Gdyby ci ludzie zostali w Polsce miałyby miejsce destabilizacja społeczna kraju prowadząca prosto do rewolucji. Polska emigracja nie stwarza problemu kulturowego w innych krajach ze względu na duży stopień asymilacji. Multi-kulti było sposobem na rozładowanie rewolucyjnego potencjału islamu.

Najważniejsze jednak wydaje mi się, by Polska nie traktowała tego problemu jako własnego. Jest to problem zewnętrzny, który rozgrywa się obok nas. Przekonuje się nas hipotetycznym

eksportem problemu islamskiego do Polski, co budzi lęki u tych, którzy nie rozumieją istoty tego problemu. Problem z islamem dotyczy zamożnych krajów europejskich, na ogół mocno uwikłanych w dziedzictwo kolonialne. Polski nie dotyczy ten problem z kilku fundamentalnych powodów:

- Polska nie ma analogicznego dziedzictwa kraju który wyrósł na praktykach kolonialnych, lecz obecnie jest de facto po drugiej stronie barykady – będąc krajem o gospodarce neokolonialnej.

- Polska jest krajem ubogim o słabiutkiej polityce socjalnej, który nie ma wiele do zaoferowania imigrantom zarobkowym.

- Polska jest jednym z najbardziej jednorodnych kulturowo krajów Europy a tym samym nader nieatrakcyjnym dla rozwoju multi-kulti.

- Polska posiada dziedzictwo nader przyjacielskich relacji z krajami muzułmańskimi, takimi jak Turcja, Iran i in.

Nie ma więc specjalnych powodów, byśmy obecnie zaczynali żyć problemami niektórych krajów zachodnich, które są jedynie owocami ich własnej historii.

Bogactwo i różnorodność kultur to zjawisko pozytywne, zasługujące na ochronę, lecz kultury najlepiej kwitną jak rozwijają się w odrębnych organizmach politycznych, rozwijających interakcje w interesie obu stron i wymianę kulturową na poziomie jednostek. Głównym wrogiem bogactwa kulturowego nie są państwa monokulturowe, lecz globalizm i imperializm.

Autorstwo: Mariusz Agnosiewicz

Źródło: [Racjonalista](#)

PRZYPIS

[1] Przy czym nie chodzi tutaj jedynie o sam fakt posiadania bogactwa: w typowych państwach narodowych do roli elity

wybijane są jednostki najlepsze, w krajach zaś skolonizowanych i neokolonialnych elitą stają się jednostki przeciętne lub patologiczne – rozwój tych krajów jest więc sztucznie dławiony.